

OPOWIADANIA

Stanisława Rogali

Zając

Budowałem dom, by spełnić swoje ostatnie marzenie. Wielki dom, w którym byłoby miejsce na duży salon i jeszcze większy gabinet z olbrzymią biblioteką, a na ścianach mogłyby zawisnąć wszystkie moje i córki obrazy. Wykorzystywałem wolny czas przed wykładem o etyce Jana Pawła II porządkując żerdzie, tzw. stemple, podtrzymujące do niedawna sklepienia piwnicy a teraz porzucane wokół. Została ich pod płótnem jeszcze spora sarta. Byłem przekonany, że uporam się z nimi w te kilkanaście wolnych minut. Właściwie skończyłem robotę. Podnosząc jedną z żerdzi zauważyłem, że coś nagle smyrnęło między moimi nogami przyprawiając skórę o dreszcze. Smyrgnęło i przyczało się w kępę trawy. Za myśl przewodnią wykładu przyjąłem znane słowa „Nie lękajcie się!” Nie mogłem więc ulec panice skórnym dreszczy. Powoli zacząłem przesuwac się w stronę kępy. Byłem właściwie tuż, tuż... W tramłody, wielkości dziecięcej piłeczki, a jego pokrycie bardziej przypominało puch niż sierść. Skulony uważnie lustrowałem moje ruchy przerażonymi ślepiami. Poniwieniem odejść, cóż mogło mnie obchodzić dzikie zajęcze szczenię, które ma niewielką szansę przeżycia w cywilizowanym świecie. Nasze dzielnicowe psy pewnie zmniejszają ją wielokrotnie. W moim wykładzie nie było dla niego miejsca... Jednak wytrzeszcz jego oczu przykuwał. Te ślepia lękały się okrutnie... lękały się mnie – życzliwego mu.

Jak mogły się lękać mojej ręki wobec prawdziwego zagrożenia ze strony psów? Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że jednak te oczy mogą mi posłużyć do wykładu... Pochylałem się powoli, obserwowałem... coś, co było jakby już coś zauważałem... coś, co było jakby błyskiem... W tym momencie zajączek pokonał strach i skoczył przez moją opadającą rękę na kopiec piachu, a z piachu znowu w kępę małej trawy. Zdecydowałem ruszyć za nim. Tym razem jego ślepia nie były przerażone. Widziałem w nich jedynie wielką chęć życia, nawet zabawy i moją naiwność. Cholera... Tupnałem raz i drugi. Ponieważ nie uciekał, trąciłem kępę nogą. Odskoczył dwa susy i znowu przywarł do ziemi. Zdecydowałem nie bawić się ze mną? Niech go... Spojrzałem na zegarek. Już powinienem zaczynać wykład! Mogłem liczyć tylko na szybkość mojego samochodu. Mknąłem wąską drogą w stronę miasta i dumałem nad swoją naiwnością. Nie dokończyłem porządkować żerdzi i spóźnię się na wykład przez jednego szaraka. Nadzwyczajna głupota. Minąłem rzeczkę Bobrę i wchodziłem w zakręt, nad wylotem którego przebiegała miejska obwodnica. Nagle musiałem ostro hamować. W poprzek jezdni leżała ciężarówka z przyczepą. Przygniatała ją ciężkie osobowe auto. W głębi ulicy migłało światło pogotowia ratunkowego. To był błyski... z oczu zająca. Głęboko wciągnąłem powietrze, odetchnąłem. Byłem wdzięczny szarakowi, za czas stracony dla niego.

Marta

Wszyscy zwracali się do niej imieniem Marta i wszyscy ją kochali na zabój. Ale ona niewiele sobie z tego robiła. Pozwalała dotykać swoją lekko wschodnią twarz w koleżeńskim pozdrowieniu, oglądać piersi zarysowane zdecydowanie i znacznie odsłonięte, na których zawsze kolebał się rząd migocących tęczą bursztynów, przelykaniem nadmiaru ślin smakować biodra obiecujące rozkoszną noc i nogi unoszące ją wbrew naszym nadziejom w jakieś tajemnicze zakamarki miasta. Do wszystkich śmiała się rzędem białych i lśniących zębów, ale nikogo nie kochała poza Staszkiem. Byli jednak tacy, którzy twierdzili, że i Staszka nie kochała. Chłopak zbyt często chodził struty, jakby pił całą noc albo... płakał.

Za jego zgodą, która kosztowała ledwie dwa piwa, zaprosiliśmy Martę do akademika. Nawet Staszek, za dodatkowe piwo, sam ją przyprowadził. Zostawiliśmy jej wolny wybór – jednego z nas. Postukała się palcem w czoło i roześmiała ironicznie tymi swoimi białymi zębami. Siarczyście zadygotała piersiami. Chciała odejść na tych swoich długich nogach, unosząc denerwujące biodra, w których kolebał się świat do ogłupienia zmysłów. Nie! nie, gołąbeczko... Potem ostrzygliśmy jej głowę. Na лыso! Kiedy nie chciała wyjść z pokoju, wyrzuciliśmy ją na korytarz. Znikła nie wiadomo kiedy. Nikt tego nie zauważył. Tylko pod oknami, wydawało się, mignął cień osłaniający głowę jakąś szmatą.

Czy to była Marta? Piersi nie pulsowały pod stanikiem, bursztyny na nich nie błyszczały tęczą, a biodra jakieś niewydarzone jak u zbieraczki śmieci. Przecież do naszej wszyscy zwracali się gołębim imieniem Marta i wszyscy ją kochali...

Kobieta za oknem

Uwiedziony iluzją i zmęczony dziwadłami uniosłem głowę znad książki... W balkonowym oknie stała ona. Przetarłem oczy raz i drugi. Powoli wypływała z wieczornej mgły w krąg światła. Nabierała realnych kształtów. Byłem zaskoczony.

Przecież odeszła przed kilkoma tygodniami. Uśmiechała się radośnie, a długie blond włosy lekko powiewały. Oczy błyszczące, utkwione we mnie. Usta, z małym pieprzykiem w lewym kącie, lekko rozchylone, jakby mówiła to najważniejsze między kochankami słowo. Ni to stała za oknem, ni to biegła do mnie.

To była na pewno ona... z tym radosnym uśmiechem, obiecującym rozchyleniem ust, gorejącymi oczami, energicznymi ruchami nastolatki... cała ona.

Czerwona sukienka... Nie! Ona była w białej sukience. Czerwień to od krwi, której było dużo, zdecydowanie za dużo, pokrywała niemal cały tors i szerokimi zaciekami spływała w dół... Dziesięć metrów dalej leżał jakiś... pasażer... w spodniach, krótko ostrzyżony. Leżał w pokracznej pozie. Jeszcze dalej za nim rozbity samochód... Nie mogłem poznać jej po tej sukience... białej, nie czerwonej...

Krew pokrywała jej twarz... twarz zdeformowaną uderzeniem...

Stała w oknie konkretna, spragniona mnie... Machała ręką, na jej palcu błyszczał pierścionek... Twarz była tak zmasakrowana, że zidentyfikowałem ją dopiero po tym pierścionku, który założyłem jej na palec tuż przed wejściem do kościoła.

Błyszczał jak wtedy. Był znakiem rozpoznawczym... Podniosłem się zza biurka i ruszyłem w stronę okna...

Ona zawirowała, podskoczyła z radości, gotowa być moją. Szeroko otwierała usta. Mówiła... Nikogo nie było przy niej.

Dotknąłem szyby.

To na pewno było ona mimo krwi. Ona konkretna. Nasze ręce spotkały się na szybie. Były spragnione siebie... tylko ten zimny dotyk szkła.

Musiałem otworzyć okno... Do pokoju wdarł się rój nocnych motyli spragnionych światła...

Znowu omdlałem...